

## ORTOLAN

Podszedł do drzewa. Na to czekałem niemal godzinę ukrywając się w pobliskich krzakach. A jednak podszedł. Już w to właściwie zwątpiłem. Ale stało się, patrzyłem teraz jak zaczarowany, bez ruchu. A on przybliżył się do drzewa tak bardzo, jakby chciał je pocałować. Ale nie, uchylił tylko powoli usta i...

- Ortolan – wyszeptał tak cichutko, że musiałem wstrzymać oddech aby to usłyszeć. Powiedział to tylko raz. Ale drzewo usłyszało. Moje oczy zdawały się widzieć coś czego w rzeczywistości nie było. Obłoczek, jaki wydobył się z jego ust przy wymawianiu tego słowa, otoczył pień drzewa na wysokości jego ust. A gdy łącząc się z tyłu zatoczył krąg, zaczął się rozszerzać na cały pień, w górę i w dół drzewa. A ono zatrzeszczało całe - a przy tych trzaskach kora odpadała i dodała drugi dźwięk do melodii trzasków - dźwięk spadających kawałeczków, osuwających się wzdłuż pnia.

A potem na chwilę zaległa cisza, znów taka cisza, że musiałem wstrzymać oddech. Po tej ciszy zaś drzewo wydało ogłuszający dźwięk, jakby pękało na pół. Pień cały, pozbawiony już kory, niczym uderzony od góry siekierą, rozpołowił się. Połówki zaś drzewa, stojąc stabilnie, jednocześnie zaczęły się rozchyłać jak wrota przed królem. Pomyślałem, że pewnie teraz wejdzie do drzewa, schowa się niczym w windzie, a wrota za nim się zamkną. Ale zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Wśród przesywającej mnie ciszy, która zapanowała, usłyszałem trzepot małych skrzydełek. Ze środka pnia wyleciał niewielki ptaszek. Wyleciał i usiadł tak, że wyraźnie go widziałem. Na szczycie zarośli, w których się skryłem.

Ptaszek był wielkości wróbla. Po bokach dzioba miał żółte piórka, które układały się w kształcie wąsów - podkręconych do góry wąsów, jakie widziałem na portrecie mojego pradziadka. Poza tym niczym się nie wyróżniał, ot mały, szary ptaszek z czarnymi plamkami na grzbiecie i żółtawym brzuszkiem.

Zaśpiewał. Wydał z siebie kilka identycznych dźwięków, po których nastąpił jeden niższy ton. Ta prosta melodia wydała mi się dziwnie znajoma. Zanim jednak zdążyłem przywołać z pamięci jakieś skojarzenia, niespodziewanie przemówił do mnie głos:

- Wyjdź – powiedział to tak ciepło i radośnie, że niemal chciałem wyskoczyć z mojej bezpiecznej kryjówki. Nogi miałem jednak ścierpięte od długiego kucania, więc tylko się lekko poruszyłem, płosząc przy tym ptaszka.

- No wyjdź, człowieczku z krzaków – powtórzył zachęcająco.

Wtedy wyszedłem.

- Jestem Nalon – przedstawił się zbliżając do mnie. Był niewielkiego wzrostu i zdecydowanie już niemłody. Miał na sobie długi płaszcz, tak długi, że ciągnął go za sobą po ziemi. Im bardziej się przybliżał tym wyraźniej go widziałem. O ile z daleka wydawał się podobny do człowieka, to z bliska zacząłem dostrzegać szczegóły, które bardzo go różniły od ludzi. Na przykład ten haczykowaty nos. Ludzie mają czasem haczykowate nosy, ale jego zawijał się aż pod brodę, przy czym nie przeszkadzało mu to w mówieniu. Nie mogłem się napatrzeć. Sunął po powierzchni, niby płynąc, aż w końcu przystanął przede mną. Choć wiedziałem, że teraz moja kolej, aby się przedstawić, nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Wtedy mały ptaszek usiadł na jego ramieniu i powtórzył swoją pieśń. Ciąg podobnych tonów zakończonych jednym niższym.

- Tak, masz rację Ortolanie – rzekł Nalon, zwracając się do ptaszka – to jest jej syn. Jednej z nich w każdym razie.

- Pan zna moją mamę? – odezwałem się w końcu zaskoczony. Zanim jednak usłyszałem odpowiedź, stado wiewiórek przeleciało nad moją głową, a ja oberwałem orzeszkami we wszystkie części ciała. Najpierw się wystraszyłem, ale chwilę później chciało mi się już śmiać. Wyglądało to dość zabawnie.

- One mnie chyba nie lubią - powiedziałem z uśmiechem, gdy wiewiórki zniknęły.

- Nie lubią – potwierdził Nalon też się uśmiechając – ale nie przejmuj się, one generalnie nie lubią ludzi odkąd jeden mały łakomczuch dobrał się do ich zapasów zimowych.

„To musiał być mój kuzyn Antek”, pomyślałem w duchu. Przed oczami pojawił mi się komiczny obraz pulchnego Antosia, który z miną niewiniątka, wpycha do buzi garści wiewiórczych orzeszków, a te skaczą mu po głowie, piszcząc: „Zostaw to! Zostaw to!”

– Chodźmy, czas nagli – rzekł Nalon, przerywając moją wizję. Ruszył przed siebie oddalając się od drzewa, a ja poszedłem posłusznie za nim, zaciekawiony jego słowami.

Wkrótce dotarliśmy na niewielki, zielony pagórek. Stanęliśmy dokładnie na jego szczycie, a kiedy to się stało, Nalon szepnął coś jakby zaklęcie i można powiedzieć, że dosłownie przekonałem się co to znaczy stracić grunt pod nogami. Ziemia rozstała się, a my wpadliśmy do wnętrza pagórka. Ziemia, która stała się teraz sufitem, zatrzasnęła się z hukiem nad nami. W okrągłym pomieszczeniu, w którym się znaleźliśmy, panował półmrok.

- Tu nikt cię niczym nie obrzuci – uśmiechnął się już tradycyjnie Nalon – to miejsce marzeń

- Czyich marzeń? – spytałem zdziwiony

- Marzeń twojej mamy – odpowiedział Nalon – rozejrzyj się, zdaje się, że po to tu przyszedłeś

- Nie, Nalonie – odpowiedziałem – przyszedłem tu, bo chciałem się dowiedzieć... bo ciocia mi dzisiaj mówiła... tzn po szkole byłem ze Staszkiem..., bo ja już całkiem nie wiem czy to było, kiedy to było, jak to się stało, że tu jestem i co jest prawdziwe, nie wiem...

- Nie denerwuj się, gdy ktoś z ludzi przychodzi do nas czuje się zagubiony, to normalne, zawsze tak jest

- Ja nawet dokładnie nie pamiętam jak się tu znalazłem

Nalon zbliżył się do mnie, ale już w ogóle się nie bałem, podał mi w filiżance ciepły słodki płyn, coś podobnego do gorącej czekolady, jednak w kolorze czerwieni. Spojrzałem na jego nos, na jego bujne, siwe już włosy i pomyślałem, że chyba go polubiłem. Rozejrzałem się i usiadłem z filiżanką w ręce wprost na ziemi, bo nie było zupełnie na czym.

- Pij – powiedział Nalon – i opowiedz od początku

\*\*\*

- Dziś przyjeżdża do mnie ciotka, siostra mojej mamy, dawno jej nie widziałem, trochę się jej boję – powiedziałem do Staszka, mojego kolegi z klasy, wracając z nim ze szkoły – wpadniesz do mnie?

- Dziś nie mogę. A czemu się jej boisz? – zdziwił się Staszek – to jakaś czarownica czy co?
- A żebyś wiedział! Tata ją nazywa ciotka Jadzia, a jak się pytam czemu Jadzia to się śmieje i mówi, że od baby Jagi oczywiście.
- Nie mogę dzisiaj, może wpadnę jutro – usłyszałem od Staszka
- Ty się boisz do mnie przyjść? - Chyba zaskoczyłem go moim pytaniem, bo nic nie odpowiedział – no wiesz, tyle razy cię zapraszałem...
- No wiesz... – Bąknął Staszek i szliśmy jakiś czas milcząc
- Boisz się mojej mamy? – w końcu zapytałem
- Nie, no coś ty – odpowiedział bez zastanowienia Staszek, że mu uwierzyłem i odetchnąłem z ulgą – po prostu jakoś tak... twojej ciotki się boję – uśmiechnął się i wiedziałem, że żartuje.

Przechodziliśmy akurat obok skrzyżowania z ulicą Cichą.

- Chodź – pociągnąłem Staszka – coś ci pokażę. Staszek poszedł posłusznie za mną. Przechodziliśmy tędy niemal codziennie, ale jakoś omijałem to miejsce. Staszekowi też dotąd nie miałem ochoty go pokazywać. Co prawda bardzo się zaprzyjaźniliśmy, ale znaleźliśmy się dopiero dwa miesiące, od września, odkąd zacząłem chodzić do czwartej klasy do nowej szkoły. Po kilkunastu metrach przytrzymałem Staszka za rękaw kurtki i obróciłem w stronę szyldu wymalowanego na oszklonej ścianie przed nami.
- ORTOLAND – przeczytał literując Staszek – że co?
- Ortoland – powtórzyłem płynnie – gabinet mojej mamy, przed wypadkiem tu pracowała
- Co robiła? – spytał przyklejając swoje czoło do szyby. Dłonie przystawił do twarzy i próbował zajrzeć co jest w środku
- Dentystką była, zęby leczyła
- Brrrrrrrrrr – wzdrygnął się Staszek z odrazą – a fuj, o rety, ble, ale ci współczuję
- No przestań, co ty gadasz, czego ty mi współczujesz?! – zdziwiłem się
- Nie cierpię dentystów, zadają tylko ból – mówił ciągle się krzywiąc

Przez chwilę nic nie odpowiedziałem, przeleciała mi przez głowę głupia myśl, że moja mama leży teraz w śpiączce za karę, za zadawanie innym bólu. Ale zanim zacząłem rozwijać moje myśli Staszek wypalił:

- Ty, stary, a może to jakiś były pacjent ją potracił tym autem? – Staszek wiedział, że moja mama miała wypadek na przejściu dla pieszych
- A po co miałby jej to robić? Za co?
- Noooo za wiercenie w zębach

- Eeee, moja mama nie była od takich zwykłych dziur – powiedziałem niemal dumny – ona aparaty zakładała

- Jakie aparaty?

- No, zęby prostowała aparatami

- Aaaaa – zamyślił się Staszek

- Ortodonta – wypowiedziałem z namaszczeniem

- orto co? że co?

- Ortodonta, moja mama była ortodontką, dlatego gabinet nazywa się ORTOLAND

- Znaczy taki zębolog prostolog – skwitował Staszek – aha, to już lepiej niż taki zębolog dziurolog

Po powrocie ze szkoły przywitała mnie w drzwiach ciocia. Poznałem ją od razu, chociaż dawno się nie widzieliśmy. Ciocia miała od zawsze jak pamiętam tę samą fryzurę, przypominającą trochę watę cukrową w kolorze lekko różowym, a na nosie duże okulary. Wymieniliśmy powitalne przytulasy, a potem pobiegłem do mamy. Mama leżała tak samo od kilku lat w swoim pokoju. Od czasu wypadku, gdy potrącił ją kierowca, bo biegła na czerwonym świetle, spiesząc się po mnie do przedszkola.

- Przywitałaś się ze swoją mamuszką? – spytała ciocia zaglądając do nas

- Tak – odpowiedziałem cioci – zawsze po szkole do niej najpierw idę.

Usiadłem przy mamie i siedziałem tak na łóżku wpatrzony w nicość, gdy ciocia znów zagadała:

- Kamilku – powiedziała – a ty co taki smutny siedzisz? coś w szkole nie tak poszło?

- Nie ciociu, nic

- Co ci? No widzę, że coś ci jest - nalegała

- Byłem... – zacząłem niepewnie

- No śmiało, pomyśl, że zwierzasz się mamie, ona zresztą nas słucha, no mów – zachęcała ciocia i usiadła obok mnie obejmując mnie ramieniem

- Byłem dziś pokazać Staszce ortoland

Ciocia gwałtownie się do mnie odwróciła, jakby wstrząśnięta tą wiadomością, ale w chwilę potem odmalowała na swojej twarzy szeroki uśmiech, wracając do roli dobrej cioci pocieszycielki.

- I co? Stoi ortoland jak stał?

- Stoi stoi – zamyśliłem się

- Smutno ci z powodu mamy? – spytała ciocia wciąż mnie obejmując ramieniem, tak, że poczułem się bezpieczny i jednocześnie zatęskniłem za objęciami mojej mamy

- Tak ciociu

- Czujesz jakby kamień leżał ci na piersi? – pytała dalej ciocia

Popatrzyłem na nią trochę nie rozumiejąc

- Jakby cię ta sytuacja przygniatała? Jakbyś nie mógł odetchnąć? – próbowała wytłumaczyć ciocia

- Tak, chyba tak się czuję – powiedziałem niepewnie

- Jakbyś nie miał już marzeń? Jakby wszystko się skończyło? – kiwałem potakująco głową - A ty wiesz Kamilku skąd się wzięła nazwa gabinetu?

- Wiem, oczywiście orto od ortodoncji .

- Aaaa – tym razem zamyśliła się ciotka – więc ty znasz taką oficjalną wersję

- A jest jakaś inna?

- Tak, jest – Popatrzyła mi ciocia w oczy i wzięła moją dłoń w swoją – i ty możesz ją poznać. Myślałam, że Wera ci mówiła. Ale widocznie uznała, że jeszcze nie ten czas. Teraz chyba zgodziłaby się ze mną, że czas jest idealny.

- Ale co ciociu, o co chodzi, mów, bo mnie zaciekawiaś. O czym moja mama mi nie powiedziała?

I wtedy zobaczyłem, że to prawda, to co myślałem o ciotce całe życie, że jest w niej coś z Baby Jagi, coś tajemniczego, przerażającego i przyciągającego zarazem. Wstała, stanęła przede mną, okręciła się wokół własnej osi, szepcząc coś przy tym. Jej ubranie zmieniło się w zwiewną letnią sukienkę, chociaż przed chwilą miała na sobie dżinsy i koszule. Wirowała coraz szybciej, a ja patrząc na to wirowanie zamiast się denerwować coraz bardziej się uspokajałem. Gdy byłem już całkiem oszołomiony, ale spokojny, usłyszałem co szeptała:

Oddaję ci bezcenny dar:  
Jedyny raz zadziała czar  
Co Cię w świat marzeń przeniesie.  
W magicznym znajdziesz się lesie.  
Ukryj się, cierpliwie czekaj,  
Aż go zobaczysz z daleka.  
A gdy podejdzie do drzewa  
Usłyszysz jak ptak zaśpiewa...

Gdy wrócisz serce Ci wskaże  
komu ten dar przekażesz.

\*\*\*

- Tak się tu znalazłem, miałem się dowiedzieć skąd moja mama wzięła tą nazwę – ortoland

- I co? wiesz?

- Nie. No widziałem tego ptaszka, on miał tak na imię, ale jaki to ma związek z moją mamą?

- Twoja mama go poznała, była tu przed tobą. Ortolana zawsze wypuszczam, gdy przybywa tu kolejny człowiek. Niektórzy mają jakieś misje do spełnienia, niektórzy są tu całkiem.... powiedzmy rozrywkowo. Twoja mama, Weronika, obiecała ortolanowi, że o nim nie zapomni. Nie zapomniała?

- Nie zapomniała – powiedziałem zdecydowanie, dumny z mamy, że dotrzymała słowa i nazwę ptaszka wykorzystwała w swoim gabinecie.

- Jak każde dziecko i ona miała głowę pełną marzeń. – kontynuował Nalon - Była tu razem ze swoją siostrą. Ktoś musiał przekazać im dar. Choć to dziwne, bo zawsze był tu tylko jeden człowiek na raz... – Nalon zamyślił się na chwilę, jakby analizując dlaczego siostry trafiły tu razem.

- Moja mama i ciocia to bliźniaczki – wtrąciłem, bo pomyślałem, że to mu pomoże w rozwiązaniu zagadki

- Aaaaaa – ucieszył się Nalon – zapomniałem, fakt, to bliźniaczki, dlatego zapewne były tu razem. Ale każda w osobnych marzeniach. Ciebie jednak nie zabiorę do twoich własnych marzeń, ty masz inną rolę do spełnienia, dużo ważniejszą niż oglądanie swoich własnych marzeń.

Zamyślił się, co mu się dosyć często zdarzało, a po chwili kontynuował

– Twoja mama stworzyła akurat to miejsce, w którym teraz jesteśmy, . To kraina jej marzeń. Przechowujemy tu ludzkie marzenia, w najróżniejszych miejscach, o jakich ci się nawet nie śniło. Marzenia twojej mamy są w tym pagórku.

Rozejrzałem się dookoła, pomieszczenie nie było duże, ale zdecydowanie smutne, jakby martwe. A Nalon, jakby czytając w moich myślach kontynuował.

- Marzenia twojej mamy umarły, sprowadziłem tu ciebie, abyś je ożywił. Tylko ty możesz pomóc.

- Ale ja? Co mogę zrobić? Bardzo bym chciał, ale co mogę zrobić?

- Ty, tylko ty możesz pomóc – powtórzył zdecydowanie Nalon po czym podszedł do ściany, bardzo blisko i ponownie wypuścił z ust ten swój obłoczek. A w miejscu, w którym obłoczek dotknął wewnętrznej ściany pagórka ujrzałem swoje własne odbicie. Drgało, jakby było odbiciem w falującym jeziorze – to jej ostatnie żywe marzenie, a w nim ty, starszy niż teraz, chyba kończący jakąś szkołę, trzymasz w ręce dyplom.

Podszedłem do ściany i przyglądałem się swojemu własnemu odbiciu, było falujące ale wyraźne zarazem. Uśmiechałem się na nim promiennie. Nalon mówił dalej.

- Aby ożywić na powrót świat marzeń Wery musisz znaleźć most łączący twój świat z jej. Musisz się pośpieszyć, bo jej ostatnie marzenie jest już bardzo słabe.

Zacząłem rozglądać się po dziwnym pomieszczeniu, do którego zabrał mnie ten jeszcze dziwniejszy staruszek. Marzenia mojej mamy? O czym marzyła jako dziecko? Chyba nie o byciu dentystą? Chciałem się dalej dopytywać Nalona o wszystko, ale jego już nie było.

- Nalonie, Nalonie? – krzyczałem, ale na próżno, zostałem sam.

Przyjrzałem się jeszcze raz mojemu odbiciu i jeszcze raz i jeszcze... potem załamany usiadłem na dnie pagórka. Dlaczego akurat tu? Dlaczego pagórek. Rozmyślałem. Ale nic mi do głowy nie przychodziło. Dlaczego akurat to marzenie mojej mamy przetrwało? Jakaś szkoła? Coś kończę? Co jakiś czas krzychałem:

- Nalonie! Nalonie, błagam, pomóż! – ale nikt mi nie odpowiadał, nikt nie przychodził z pomocą. Jak mogę połączyć nasze światy, myślałem, nawet nie wiem czy mają to być oba światy marzeń czy marzenia mojej mamy mają się połączyć z moim rzeczywistym światem. Im dłużej tam siedziałem tym byłem bardziej załamany, czułem się samotny i zagubiony, chwilami marzyłem o tym, żeby to był sen. To znowu zastanawiałem się czy w moim rzeczywistym świecie, w którym zostawiłem rodziców i ciocię ktoś się o mnie martwi. W końcu zapadłem w sen. Gdy się obudziłem było mi bardzo zimno, poczułem ogromny głód. Gdy przypomniałem sobie, gdzie jestem, podszedłem od razu do ściany w miejscu, w którym wyświetlało się moje własne odbicie. Było teraz bledsze niż poprzednio i kołysało się niczym na falach jeszcze intensywniej.

- Mamo – wyszeptałem, zwinąłem prawą dłoń w pięść i z bezradności uderzyłem nią w ścianę, a potem oparłem na niej głowę i stałem tak kilka sekund. Płakałem. – Mamo, jak mam połączyć nasze światy? Jak? - Znowu usiadłem na dnie pagórka i z bezradności i desperacji złapałem w dłoń garść ziemi, która pokrywała całą powierzchnię. Zauważyłem, że jest na tyle plastyczna, że można z niej coś uformować. Pomyślałem, że chciałbym się stąd wydostać, ale jednocześnie nie chciałbym, bo jestem jedynym ratunkiem na ocalenie marzeń mojej mamy. Chciałem ulepić z ziemi Nalona, ale nie udawało mi się, spróbowałem więc ulepić ortolana, bo to on niejako był przyczyną mojego pojawienia się tutaj. Gdy lepiłem ptaszka na jego skrzydełko spadła moja łza. I ku mojemu zdziwieniu ptaszek ożył w moich rękach. Zaczął latać po całym pomieszczeniu, jakby chciał się z niego wydostać. W końcu, w końcu coś się wydarzyło! Ortolanie, ty byłeś marzeniem mojej mamy? Na pewno tak, przecież to nie były marzenia tylko małej dziewczynki, ale też dorosłej kobiety, mojej kochanej mamy. Może marzyła, by znowu spotkać ortolana, albo myślała co zrobić, by upamiętnić nazwę ptaszka? Podniosłem się z ziemi z nową nadzieją. Głowę miałem nagle pełną pomysłów. Ręką, całą brudną od ziemi, próbowałem rysować po ścianie. Zacząłem od małej łódki, w której umieściłem mamę, tatę i siebie. Opowiadała mi o tym swoim marzeniu tuż przed wypadkiem, że może popłyniemy kiedyś w trójkę, w rejs. Teraz prosiłem Ortolana, którego skrzydło ożywiła moja łza, aby przyfrunął do rysunku na ścianie. A on mnie posłuchał, podfrunął blisko łódeczki i musnął ją skrzydłem. Łódeczka zaczęła się kołysać, a od ściany z tego miejsca powiało morską bryzą i to tak zawiąło, że Ortolan ledwo utrzymał się w powietrzu, machając intensywnie swoimi skrzydełkami. Stałem oniemiały, przyglądałem się, jak łódeczka porusza się na falach, a w niej trzy postaci. Przyglądałem się mamie, wyglądała tak pięknie, poczułem ogromne pragnienie, by się do niej przytulić i... w tym momencie mała mama z mojej łódeczki wzięła małego mnie w ramiona i przytuliła. To mamy marzenia, pomyślałem, są też moimi marzeniami, mogę nimi sterować, mogę je rozbudzać... och, cudownie, pomyślałem i rozejrzałem się po wnętrzu pagórka. Zrobiło się teraz jaśniej i milej, bo światło i przyjemny powiew bryzy morskiej biły od obrazka. Poczuję się radośniejszy i wziąłem się ostro do roboty, malowałem na ścianie jeden obrazek po drugim, przypominałem sobie nasze wspólne rozmowy, plany, przygody i umieszczałem je na ścianach pagórka. A gdy zapełniłem ostatnie miejsce pojawił się Nalon, nie wiedząc skąd stanął przede mną i powiedział jak zwykle z uśmiechem:

- Udało ci się! Dodaj jeszcze jakąś muzykę.

Pomyślałem intensywnie najpierw o piosence, którą znałem z przedszkola, ale po chwili zmieniłem zdanie i wiedziałem już, że to musi być utwór Betowena. Mama bardzo lubiła słuchać utworów poważnych i uczyła mnie rozpoznawać, który jest czyj. Mama skończyła szkołę muzyczną. Ja też chodziłem do takiej szkoły trzy lata. Ale samo pomyślenie o muzyce nie wystarczyło. Nic nie było słychać poza cichutkim uderzaniem fal i innymi odgłosami ze ścian pagórka.

Nalon popatrzył na mnie, a potem wymownie przeniósł wzrok na ortolana.

- Ortolanie – zawołałem na ptaszka – puść muzykę – zaśmiałem się

- Skoro wybrałeś Betowena – powiedział Nalon i od razu zrozumiałem, że czytał w moich myślach – to musi to być 5 symfonia – I w tym momencie rozległy się dźwięki piątej symfonii Betowena – Możemy wracać – krzyknął do mnie Nalon, tak zrobiło się głośno. I choć wcale nie miałem teraz ochoty opuszczać pagórka, czując się tam trochę jak w głowie albo sercu mamy, to jednak on nie czekał na moją decyzję. Po prostu wierzchołek pagórka uchylił się a my unieśliśmy się do góry. Pod nami pagórek się zamknął i stanęliśmy na jego szczycie.

\*\*\*

Wróciłem do domu. Siedziałem w tym samym miejscu, z którego przeniosłem się do tajemniczej krainy, a przede mną wciąż unosiła się wirując nad ziemią w zwiewnej sukience ciotka Baba Jaga. Ona powoli opadała na ziemię, a mój umysł wracał do rzeczywistości. Wstałem z krzesła i podszedłem bliźutko mamy, a ciocia przyglądała mi się uważnie. Wziąłem mamę za rękę i patrzyłem na jej twarz, oczy miała zamknięte jak zawsze, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech. Ja się momentalnie nim zaraziłem.

- Ciociu, zobacz, mama się uśmiecha

- Widzę Kamillku – odpowiedziała ciocia – ty wiesz czemu?

- Ożyły jej marzenia! – krzyknąłem rozradowany

- Ożyły jej marzenia – powtórzyła ciocia – te w pagórku?

- Tak, te w pagórku.

- Moje były na dnie jeziora – powiedziała ciocia

- Na dnie jeziora? – zdziwiłem się

- A twoje?

- Nie byłem w swoich, ja ciociu miałem... inne zadanie – i tak opowiedziałem cioci po kolei moje przygody, a potem ciocia opowiadała mi o swoich, z odległych czasów. W jej opowiadaniu była też moja mama, więc słuchałem z zapartym tchem.

\*\*\*



- Ciociu, musisz wyjeżdżać? – powiedziałem takim płaczącym głosem, na jaki tylko było mnie stać

- Muszę - zdecydowanie odpowiedziała ciotka – wiesz, że muszę, ale ty dasz sobie radę – podeszła do mnie i przytrzymała w swej dłoni mój podbródek, patrząc mi prosto w oczy – jesteś wyjątkowy – a potem zdawało mi się, że mrugnęła okiem, zanim dodała ścisząc głos – niczym mały ptaszek skryty w wielkim pniu drzewa, czekający na moment, gdy go wypuszczą, by jego śpiew był przyczynkiem do powstania wielkiego dzieła. – Potem pocałowała mnie w czoło i jeszcze raz powiedziała – Poradzisz sobie! – A potem wyszła

\*\*\*

Tato wziął mnie na kolana. Miałem już co prawda 10 lat, ale tata często sadzał mnie na swoich kolanach i spokojnie, z całą swoją cierpliwością tłumaczył mi każdą sprawę. Tym razem musiał mnie uspokoić. Płakałem, bo Staszek okazał się być podły. Wyśmiewał się z mojej mamy... Mój nowy przyjaciel, któremu tyle razy proponowałem, by mnie odwiedził, by poznał moją mamę, odmówił dziś po raz kolejny. A potem słyszałem, jak mówił do innych kolegów, że nie jest rycerzem i nie będzie chodził budzić śpiącej królowny.

- Ale twoja mamusia jest śpiącą królowną! – powiedział zdecydowanie tata – tu nie ma się za co obrażać. To sama prawda, zarówno to że jest królowną, jak i to że śpiącą!

-Ale on powiedział... – płakałem i trudno mi było mówić – powiedział, że lepiej żeby mamusia umarła, że takie życie to bez sensu, że tylko się wszyscy męczą i że ona się męczy.

- Nikt nie wie do czego posłuży w życiu innych to, co robimy w naszym własnym życiu, nawet jeśli wszystkim się wydaje, że nic nie robimy albo tak mało – powiedział spokojnie tata

- Nic nie robimy – brzmiało mu w uszach – nic nie robimy

- Żyje na świecie taki mały ptaszek – tata mówił płynnie dalej, a ja przestałem płakać i podniosłem nagle głowę – nazywa się ortolan – spojrzałem uważnie na tatę, czułem, że teraz moja zagadka zostanie rozwiązana, że za chwilę zrozumiem coś... – jego śpiew nie jest imponujący – ciągnął dalej tata - ot kilka podobnych dźwięków, wydanych pod rząd, a potem jeden niższy na koniec. A jednak to właśnie jego śpiew posłużył Betowenowi do skomponowania piątej symfonii. Przepiękne to dzieło podobno rozpoczyna się dźwiękami zaczerpniętymi ze śpiewu ortolana. Znasz synku piątą symfonię Betowena, mama ci często Betowena puszczała.

- Tato – powiedziałem ocierając oczy jeszcze z łez, ale na twarzy już nie miałem prawie smutku – przecież chodziłem do szkoły muzycznej trzy lata! Oczywiście, że znam tu tu tu tum – zanuciłem tacie prosto do ucha

- tu tu tu tum – powtórzył tata

A potem spędziliśmy bardzo miły wieczór. Tata puścił z wieży 5 symfonię Betowena, ja pobiegłem po mój instrument, o którym już prawie zapomniałem i wygrywałem mamie utwory, które jeszcze pamiętałem. Potem tata zrobił wspaniałą kolację, ja mu pomagałem. A w powietrzu niemal słychać było trzepot malutkich skrzydełek. Na koniec przytuliłem się do mojej śpiącej królowny mamy i poszedłem spać jakiś odmieniony.

\*\*\*

Następnego dnia Staszek przeprosił mnie i powiedział, że bardzo żałuje i chce poznać moją mamę, tylko się boi. Tym razem przełamał się i przyszedł.

- Długo tak leży? – zapytał Staszek, gdy zobaczył moją mamę

- Mama tak leży odkąd miała wypadek. Spieszyła się po mnie do przedszkola, przebiegła na czerwonym świetle i jakiś pan w nią uderzył. Mocno uderzył.

Mój kolega popatrzył jeszcze raz na moją leżącą mamę.

- Słyszysz nas? – szepnął mi do ucha

- Tak, chyba słyszysz – odpowiedziałem głośno – możesz się z nią przywitać – dodałem, ale Staszek milczał i tylko się uśmiechnął

- Mamo – zacząłem ja – przyproważyłem Staszka, poznaj go, to mój dobry kumpel

\*\*\*

- Myślisz... zapytał bardzo powoli – że twoja mama się kiedyś obudzi?

- Jestem pewien – powiedziałem z całym zdecydowaniem, na jakie było mnie stać

- Skąd? – zapytał z uśmiechem na twarzy

- Bo... – teraz ja zwolniłem tempo wypowiedzi – bo.. – zacząłem jeszcze raz, ale nie mogłem skończyć. Miałem w pamięci jego uśmiech, ten sprzed kilku sekund, gdy wątpił w to że moja mama się obudzi. Jakże by mi uwierzył w to co zobaczyłem tam, w tajemniczej krainie marzeń.

- No? Skąd wiesz? – ponowił pytanie Staszek

- Nie mogę ci powiedzieć

- Czemu? – domagał się odpowiedzi Staszek

- Nie uwierzysz, będziesz się śmiał – byłem wciąż niezdecydowany

Potem wymyśliliśmy, że zawiążemy mu usta, szalikiem, albo czymś takim i usiądzie tyłem do mnie na krześle i wtedy mu powiem, a jak się zaśmieje, jak zwątpi i wyśmieje to będzie musiał... zrobić sto pompek. I jeszcze kazałem mu przyrzec, że nikomu nie zdradzi moich zwierzeń.

I opowiedziałem mu o drzewie i o obłoczku, który go otaczał, a potem o małym ptaszku z wymalowanymi żółtymi wąsami. A potem dalej...

Ptaszek zaśpiewał, a gdy głos wydobywał się z jego malutkiego dzióbka...

- I wiesz, jej marzenia znów ożyły... i moje też, znów gram i chcę znów grać i wiem, że jej życie ma sens, życie mojej mamy ma wielki sens, kiedyś go odkryję